



Książka i film od podszewki



Trzy lata temu przeczytałem z prawdziwą satysfakcją nową powieść polską. Było to wydarzenie, bowiem jeśli zdarzy mi się lektura wychwalanych fabuł, czynię to zwykle z podziwem dla sztuki i pomysłowości polskich piór, jednak o prawdziwą przyjemność i zainteresowanie losem bohaterów jest mi trudniej. Tym wyjątkiem była *Boża podszewka* Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz, wydana przez Fundację Pogranicza w Sejnach w bibliotece pisma „Krasnogruda”. Ta niezwykła książka pozostała szerzej nie zauważona. Dotyczyła spraw zwanych życiowymi, które mogą zdarzyć się nieomal wszędzie, a równocześnie przypominała środowisko już dziś egzotyczne, znane mi jednak z własnego, jeszcze dziecięcego doświadczenia. Moja matka też miała zawsze kogoś „za bożą podszewkę”, a nigdy „za hetkę-petkę”.

Mineję parę lat, a ta sama powieść okazała się w niektórych księgarniach bestsellerem. Sprawdził się pogląd, że nic nie potrafi tak promować literatury jak telewizja. Nowe wydanie wprowadziła na rynek obrotna oficyna „Prószyński i S-ka” i zgrała to w czasie wyświetlaniem serialu i okresem czytania tekstu w radiu. Wykorzystano też w druku fotosy z filmu. Nadto - nic bardziej nie pomaga sztuce niż anatomie, które na nią padają. Im protesty gorętsze, tym większy sukces zapewniony.

Autorka napisała rzecz o drobnej szlachcie podwileńskich okolic; nie pisała satyry, ale z pewnego oddalenia ubarwiła i zagaściła niektóre wydarzenia, tak się bowiem zwykle tworzy popularną prozę i scenariusze, a Lubkiewicz-Urbanowicz jest specjalistką w tej dziedzinie, współautorką słuchowisk *W Jezioranach*. Podobnie pisał Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, którego też oskarżano o ośmieszanie i szarganie litewskiej prowincji. Podobnie czynili inni twórcy opiewający ziemię kresowe, jeśli tylko chcieli zainteresować czytelników - Melchior Wańkowicz, Sergiusz Piasecki czy Czesław Miłosz. Książki ich tworzą pewną legendę ziemi młodości, nie jest to po prostu czarna legenda, ale opowieści ubarwiające i kondensujące zdarzenia, które zwykle biegną wolniejszym rytmem. Sam pamiętam z rodzinnych kontaktów w tym środowisku, że powszechnie lubowano się w sąsiedzkich plotkach, zaglądano sobie do garnków i łózek, zajmowano się opisywaniem barwnych postaci, które - jak mawiano - dziwaczyły się. Liczne tomiki wspomnieniowe, ukazujące się w kręgu ziomkostw miłośników ziemi wileńskiej, świadomie budujące bohaterską legendę tych stron, zwykle są literacko martwe, zięją nudą. Ciekawe, czy każda barwna, a więc przesadzona opowieść o środowisku arystokratów, farmerów, kowbojów itd. budzi protesty ludzi wywodzących się z tych środowisk?

Trzeba jednak zrozumieć, że ludzie z Wileńszczyzny mają prawo być przewrażliwieni, wystarczy sięgnąć do niedawno wydanej rozprawy Stanisławy Lewandowskiej *Życie codzienne w Wilnie w latach II wojny światowej*, aby uświadomić sobie ciężar ich przeżyć.

Sądzę jednak, że moi kompatrioci tworząc protesty wokół książki, nie zwrócili uwagi na fakt, że odtwarza ona zaginiony świat młodości z dużą dozą sentymentu. Z barwnej fabuły wylania się prawda, że był to świat kontrastów, ciężkiej codziennej pracy, charakterów tradycyjnych i konserwatywnych. Potrafił budować silne, typowe dla narodowych pograniczy, ofiarne postawy narodowe i patriotyczne, nie darzył natomiast zrozumieniem aspiracji ani Białorusinów, ani Litwinów. Pogardzał galileuszami. Ale był czuły na lektury, oddawał swoje najlepsze dzieci do szkół, zasilał rzesze polskiej inteligencji. Wywodziła się stąd częstokroć młodzież podatna na nowe, nawet rewolucyjne prądy. Znaczna część twórczej polskiej inteligencji ma swe korzenie w dawnej szlachcie kresowej.

Jak się już rzekło, nie każda książka potrafi wywołać żywsze społeczne reakcje. Nawet te poczytne docierają do bardzo rozproszonych czytelników w stosunkowo długim czasie i odbiorcom trudno

się do czegoś zorganizować. Taką siłę ma dziś przede wszystkim telewizja, a zwłaszcza jej seriale. W tym kontekście należy też rozumieć nagłą akcję obrońców honoru kresowiaków, którzy nie pojęli pewnych praw rządzących literaturą.

Albowiem wbrew niektórym niezbyt mądrym opiniom istnieją, co prawda znacznie mniej liczna, ale ważna, gałąź seriali artystycznych odbiegających od masowej amerykańsko-brazylijskiej tandety. Wymienilibym choćby *Wichry wojny* czy *Noce i dnie*. Do takich ambitnych poczynań telewizji pragnie się też wpisać *Boża podszewka*. Sądzę, że dobrze się stało, iż potrafiła ona barwnymi i tragicznymi losami ludzi polskiego wschodu zainteresować stosunkowo szerokie grono widzów, choć szkoda, że artystyczne ambicje serialu nie zawsze znalazły najszcześniejszą realizację. Są odcinki bardzo dobre i gorsze, są w nim niektóre sceny tandetne w rodzaju symbolicznego (?) tańca Podszewki w rzece na chwilę przed wejściem Niemców do Wilna. Ale jest wreszcie polskie dzieło popularne, które przyciąga widzów.

Jednak wszystkich rzeczywiście zainteresowanych zaginionym światem kresowej polszczyzny usilnie zachęcam, aby sięgnęli do książki. Sądzę, że w toku narracji składającej się z plotek i rodzinnych historii odnajdą coś z zapachu i smaku świata swego dzieciństwa. Podług mojego rozeznania świat ten rozumie i czuje autorka, która spędziła w nim kilka ważnych lat swojej wczesnej młodości. Lat, których się zwykle nie zapomina.

Niestety reżyser serialu Izabella Cywińska, której korzenie - jeśli sędzić z nazwiska - również znajdują się gdzieś na kresach, jak się zdaje nie bardzo czuła tę obyczajową specyfikę. Wolno sądzić, że dla przeciętnego odbiorcy telewizji nie gra to większej roli, ale mnie boli, jeśli znane mi z dawna powiedzonka, jak „idrywajupalki” czy „co, w dupie szkło”, brzmią jak cytaty z obcej mowy. Mamy jeszcze kilku aktorów posługujących się gwara wileńską, można by też sięgnąć po członków amatorskich zespołów polskich z Wilna. Sprawa byłaby jednak trudna, bowiem nie mieliby wtedy pola do popisu wybitni aktorzy, którzy są siłą tego spektaklu, choćby świetny Andrzej Grabowski.

Izabella Cywińska w telewizyjnym „Pegazie” deklaruowała chęć zachowania regionalnych realiów i obyczajów. Można zaobserwować w filmie wiele takich dobrze zapamiętanych scen, jak choćby posypywanie podłogi w domu zmarłego gałązkami świerkowymi. Zwyczaj ten znalazłem z Wilna. Jest w błędzie jednak pani reżyser przyznając się w wywiadzie telewizyjnym tylko do kilku potknięć w tej dziedzinie. Ja widziałem ich więcej: nie tylko większość odcinków w ogóle obywatela się bez duhy, ale jeżdżono w tym serialu w jednego konia przy dyszlu, a nie w hołoblach. Ojciec wymachuje rozlazłą kielbasą we flaku przypominającym specjały z MHD - zda się nie widział owych suszonych słynnych wędlin litewskich. Można by wskazać wiele wileńskich wojennych realiów, które pamiętam inaczej. I tak nieprawdopodobna, a przynajmniej nietypowa jest scena wywózki. Sterrozywanemu ludzi potulnie dawali się prowadzić, nie słyszałem o szarpaniu się z oprawcami, wieziono ich na kolej nie w karetkach więziennych, ale w otwartych zielonych ZiS-ach, w których nad skulonymi przy swym chudym bagażu ludźmi górowali uzbrojeni wartownicy.

Wartość serialu o „Bożej podszewce” widzę w tym, że opowiadając ciekawie plotki i dramaty zapamiętane przez prawie jeszcze dziecko, mówi przy okazji o losach znacznej części narodu polskiego, które przez lata skazywano na zapomnienie.

Powtarzam jednak raz jeszcze zachętę do lektury - ta lepiej potrafi przywoływać świat dawnych kresów, a zawsze to coś innego niż obrazki.

Janusz Dunin